

Lament nad rozlanym mlekiem

Nie wiem kto wymyślił powiedzenie, żeby nie płakać nad rozlanym mlekiem, ale z całą pewnością nie był to ktoś, komu naprawdę rozlało się mleko.

No bo sami popatrzcie jak to jest...

Już nawet z czasów wczesnego dzieciństwa mleko jawi się nam jako substancja wyjątkowo podstępna, zwykle kojarząca się z nieprzyjemnym zapachem. Komu choć raz wykipiało mleko na palnik, ten wie, o czym mówię. Wietrzenie, namaczanie, skrobanie spalenizny. Taką przyjemność ma na koncie chyba każdy z nas, dlatego też gotowanie mleka stresuje. To cholerstwo nigdy nie wykipi jak się go pilnuje, ale wystarczy na kilka sekund spuścić je z oczu to od razu wyleci.

Tu przytoczę pewną ciekawostkę, choć pewnie wielu z Was nie uwierzy w niezwykłą wręcz umiejętność mojego taty. Facet niewątpliwie ma nerwy niczym japoński samuraj, bowiem codziennie wieczorem nalewa mleko do garnka, odpala palnik i idzie do łazienki się kąpać. Nie zliczę, ileż to razy stałam nad garnkiem z bąblującym już mlekiem pewna, że wyleci zanim tata zapnie piżamę, a ja wreszcie odniosę osobisty sukces domowego zbawcy, ale nigdy mi się ta sztuka nie udała. Otóż z chwilą, kiedy mleko zaczyna się pienić i podchodzić do góry, tata wolnym krokiem wchodzi do kuchni i spokojnie przekręca kurek zwykle pytając mnie, po co ja tak stoję przy kuchence (?).

Niezły hardcore, co? ☐

Znacie drugiego takiego magika? Ja nie. Tata jest niekwestionowanym specjalistą, ale za to jak jakiś sąsiad mleko przyfajczył to zawsze pół bloku komentowało w stylu: „Oj, chyba dziś u Sermakowej mleko wykipiało”, jednocześnie dziękując Bozi, że to nie nasza kuchnia i nie nasz garnek.

W sumie to zrozumiałe, że jak coś się przypali to później trzeba szorować, ale mleko jest na tyle wredne, że trzeba namaczać i szorować garnek nawet jak się nie przypali i nie wykipi.

Właściwie to tak po zastanowieniu doszłam do wniosku, że za bardzo nie ma się czemu dziwić, skoro mleko przeznaczone jest dla cieląt, a natura łaskawie darowała ich matkom gotowanie jedzenia. To mniej więcej tak, jakby matka karmiąca piersią przed zaserwowaniem posiłku, wpierw musiała podgotować sobie biust w mikrofalach. Absurd 😊

Ale wracając do szeroko pojętego aspektu konsumpcji mleka. Kto ze szczerego serca pokochał w dzieciństwie zupę mleczną? Łapka w górę!

Ja pokochałam, ale inaczej. Traumą z dzieciństwa pielęgnuję w sobie do dziś i nawet najbardziej zmasowane kampanie mleczarskiego lobby nie są w stanie jej złagodzić i przekonać mnie, że później będę zdrowa i wielka. A po chlebie to nie będę? Po bananach też nie? To może chociaż po kaszy jaglanej, skoro taka zdrowa? 😊

Nawet wyłączając spożycie oraz dietę, mleko konkretnie potrafi uprzykrzyć człowiekowi życie również i na innych płaszczyznach życia. Wylaliście kiedyś mleko na wykładzinę w samochodzie? Nie? To macie szczęście, a jeśli kiedykolwiek wylejecie, to jedynym sensownym rozwiązaniem jest wymiana samochodu na inny. I to jak najszybciej. Wiem, bo sąsiadka kiedyś wylała. Ja wprawdzie tej przyjemności na własnej skórze nie doświadczyłam, ale spotkała mnie kiedyś inna mleczna przygoda.

Parkując onegdaj na Ursynowie (wcale nie pod Jagny horror blokiem) podpadłam pewnej starszej pani, której nie spodobało się, że parkuję pod jej oknami. Nawrzeszczała na mnie z okna i zagroziła, że jak nie odjadę, to mi obleje auto mlekiem. Nieświadoma kalibru tej groźby uznałam, że parkuję prawidłowo, w dodatku na wyznaczonym miejscu, więc puściłam groźbę

wściekłej staruszki mimo uszu i poszłam załatwić swoje. Po powrocie zastałam pojazd w stanie nienaruszonym, a przynajmniej tak mi się wtedy wydawało. 😊 Ruszyłam w stronę Krakowa. Na trasie wyszło słońce. To brzmi nieprawdopodobnie, ale po drodze odwiedziłam chyba wszystkie myjnie samochodowe. Przez przednią szybę zaczęłam coś widzieć dopiero jakoś mniej więcej w okolicach Częstochowy. To niesamowite, co mleko potrafi zrobić z przednią szybą i jak ciężko się go pozbyć, szczególnie latem, zatem nie polecam. Chyba, że chcecie się zemścić ☐

No dobrze, kto chce niech sobie pije. Moja rodzina nie musi, jedyne odstępstwo to poranna kawa, a że okresami się z mężem odchudzamy, zatem czasem w lodówce ląduje karton krowiego 0,5%. Często zabieramy je ze sobą na wyjazdy przekonani, że na miejscu zaserwują nam przynajmniej dwuprocentowe kaloryczne szaleństwo. Jako że zawsze wyjeżdżamy dopakowani jak uchodźcy z Południowej Palestyny i w bagażniku nie ma gdzie szpilki wetknąć, zatem zwykle pod moimi nogami ląduje dyżurny plecaczek spożywczy. W drodze powrotnej jest już nieco luźniej, tak więc nikt specjalnie nie przykłada się do systemu pakowania. Szczególnie na ostatnim etapie dopychania. No i tu chciałam wspomnieć o zeszłorocznej, kolejnej, mlecznej wpadce, która o mało nie pociągnęła za sobą strat dużo bardziej pokaźnych finansowo niż znikomy koszt, opróżnionego do połowy, kartonu z niskoprocentowym łaciatym.

Można powiedzieć, że chytry dwa razy traci, ale co miałam zrobić? Miałam wylać? Bez sensu. Karton był z tych na zakrętkę z gwintem, więc niewiele myśląc, upchnęłam go do torby z narciarskimi ciuchami. No i się po drodze wylało... Gwint był nieszczelny i poszło bokiem. Akurat mieliśmy 2 dni pomiędzy jednym wyjazdem a drugim, tak więc wrzuciłam to wszystko do pralki i po problemie. Niestety, tylko tak mi się wydawało. Mogłam przewidzieć, że ta podstępna ciecz sprawi nowe kłopoty. Ale nie przewidziałam. Apiać spakowałam wyprane ciuchy do toreb i pojechaliśmy całą rodziną na Słowację. Już w

pierwszym dniu, na stoku, mój mąż zapytał z mocno niepewną miną, czy ja coś czuję.

– Czujesz coś ode mnie?

– Nie. A co mam czuć?- zdziwiłam się.

– Nic nie czujesz? Serio? Bo wiesz, chyba coś mi capem śmierdzi ze spodni.

– What?!- zdębiałam, aż zaparowały mi gogle.

– No mówię. Coś tak jakby z wytwórni owczych serów. Aż boję się iść do toalety...

Myślałam, że żartuje, ale głupio było na stoku wachać mu spodnie, więc puściłam tę wymianę zdań mimo uszu. Coś ściemnia. Przecież je wyprałam!

Wieczorem zmieniłam zdanie. Po zdjęciu spodni narciarskich mój mąż rzeczywiście woniał jak długo niemyty juhas z podhalańskiej bacówki. O spodniach już nawet nie wspomnę. Po kilku salwach śmiechu udało się ustalić winowajcę. To przekłute mleko wlało się do środka męzkowych spodni, a szczelne membrany skutecznie uniemożliwiły wypranie. Koniec końców uznaliśmy, że albo spodnie, albo my, zatem przez cały tydzień mąż trzymał swoje narciarskie spodnie na balkonie, a w dzień, gdy tylko temperatura wzrastała do zera (a w zeszłym roku było raczej na plusie), w barze, na stoku siadywał biedaczysko przy osobnym stoliku 😊

Cóż, nie wspominał zeszłorocznych ferii zbyt mile, ale jakże mnie zaskoczył w tym roku, kiedy to po pierwszym dniu jazdy stwierdził, że znowu mu z gaci załatuje zgłiwiałym twarogiem. Jakoś tym razem od razu mu uwierzyłam ☐ Kurczę. Jakim cudem się wtedy nie doprało? Teraz znowu wyprałam na lewej stronie. Na wszelki wypadek trzy razy!

Sami zatem widzicie, że z rozlanym mlekiem wcale nie ma tak

lekkie. Dziś w narciarskich spodniach mężowi pachnie alpejskim wodospadem, a mleko na wszelki wypadek zostało w domu. Wypijemy sobie czarną ☐